Rok XXV. We Lwowie, dnia 19. lipca 1918. Nr. 29.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 17·— K
półroczna . 9·— „
kwartalna . 4·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 h. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Orędzie Ojca św. do biskupów polskich.

W „Acta Ap. Sedis" ogłoszono co następuje:

Czcigodnemu Bratu Aleksandrowi Kakowskiemu, Acybiskupowi warszawskiemu i innym tejże prowincyi Biskupom

Benedykt XV., Papież.

Czcigodni Bracia, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

W pośród wielu, które Nas dotykają, trosk i strapień, wywołanych przez zabójczą tę wojnę, która z każdym dniem coraz silniej, jakoby przez dolewanie oliwy do ognia, się wzmaga, z łaskawości miłosiernego Boga często otrzymujemy niejedną pociechę, z czego czerpiemy nadzieję, iż gdy tak wielkie nieszczęścia ustaną, sprawy przybiorą obrót szczęśliwy dla życia katolickiego i wiecznego dusz zbawienia. Oto niemałą radość sprawiło Nam pismo, jakie pod datą 11. grudnia roku zeszłego do Nas wysłaliście: albowiem cześć swoją i miłość swoją ku Nam okazawszy, wtajemniczyliście Nas w ważne postanowienia, które na konferencyi Biskupów w Warszawie, tegoż dnia dla przyszłego stałego urządzenia Kościoła katolickiego w Królestwie Polskiem powzięliście. Nikt, zaiste, a tem bardziej My sami nie powątpiewaliśmy nigdy o ścisłem Was wszystkich z Nami zjednoczeniu; albowiem wiadoma jest rzecz, żeście zawsze i stale, nawet w najcięższych okolicznościach, ze Stolicą Apostolską byli złączeni.

Wyrazy miłości, jakie Nam w ostatnim czasie wypowiedzieliście, tem bardziej sobie cenimy, że one wypadły na czasy, gdy dla Polaków i swobody ogólne i wolność Kościoła katolickiego świtają. Rzecz wielką i prawowitą, zaiste, przedsięwzięliście, dla której osiągnięcia należy Wam, wszelkie różnice zdań usunąwszy, wszystkich sił użyć; jeżeli bowiem zjednoczonemi siłami to, coście zaczęli, prowadzić dalej będziecie, bez wątpienia, z pomocą Boga zjednoczenie to przyczyni wiele korzyści dla spraw religii. Aby Wam dać dowód szczególnej Naszej ku Wam łaskawości i pieczy, jaką Wasze prace otaczamy, niemałe im dajemy publiczne świadectwo, posyłając do Was ukochanego syna Achillesa Ratti'ego, protonotaryusza apostolskiego i prefekta biblioteki watykańskiej, który Naszą osobę przedstawiać będzie. Do niego, jako do apostolskiego wizytatora, należeć będą sprawy kościelne tylko; polecamy mu bowiem, aby zbadał, jakich środków i jakich pomocy sprawy katolickie wymagają i aby, o ile to będzie okazywało się pożytecznem, w pracach Waszych był Waszym towarzyszem i uczestnikiem.

Jako pośrednik między Stolicą Apostolską a Biskupami polskimi ustanowiony, będzie mógł i życzenia Wasze Nam przedstawić i Naszą wolę Wam łatwiej objawić; co będzie miało bez wątpienia ten skutek, iż coście rozpoczęli, zgodnie z Naszą wolą i Waszemi życzeniami ukończone będzie. Kończąc, polecamy Wam męża, którego i pobożność i miłość dla wiary i doświadczenie i głęboka wszechstronna nauka wszystkim są znane; chcemy bowiem, abyście wiedzieli, że w tym znakomitym mężu pokładamy nadzieję, iż jego pomoc dla Waszych kościołów okaże się korzystną. Ale że bezsilne są zamiary, jeżeli łaska Boga wszechmocnego im nie pomoże, gorąco Go prosimy, aby umysły Wasze darami niebieskiej mądrości oświecił i kierował, a jako zadatek tych łask i znak ojcowskiej miłości, Wam, czcigodni Bracia, oraz duchowieństwu i ludowi Waszemu apostolskiego błogosławieństwa z miłością w Panu udzielamy.

Dan w Rzymie u św. Piotra, dnia 25. kwietnia 1918 r., papiestwa Naszego 4-go.

Papież, Benedykt XV.

Sylwetki historyczne z dziejów Cerkwi.

Z badań i doświadczeń napisał

X. Dr. WŁ. CHOTKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

VI.

Ruski kalendarz.

Rusini przystępowali do unii z Rzymem z pewnemi zastrzeżeniami i stawiali warunki, które uchwalili na II synodzie w Brześciu litewskim (2 grudnia 1594) a następnie przedłożyli Królowi Zygmuntowi III. (1 czerwca 1595). Pomiędzy innemi przyrzekali, *jeśli inaczej być nie może*, przyjąć nowy kalendarz, z tem zastrzeżeniem, że nie tkniętym będzie ich sposób obchodzenia Wielkanocy i że inne właściwe im święta, jak święto Bohozjawlenia (3 Króli) zostaną nienaruszone.

Trzeba tu przypomnieć, że na trzynaście lat przedtem (13 lutego 1582) wydał Grzegorz XIII Konstytucyę „*Inter gravissimas*", którą zaprowadził nowy kalendarz w świecie chrześcijańskim, kalendarz ten zowie się też od imienia papieża gregoryańskim, zamiast juliańskiego, t. zw. od Juliusza Cezara. Dnia 4 października r. 1582 przeskoczył nowy kalendarz 10 dni, tak że w Hiszpanii święto św. Teresy, obchodzono 14 października, zamiast czwartego, co dotąd się zachowuje. Ta różnica 10 dni pomiędzy kalendarzem księżycowym (*annus lunaris*) a słonecznym (*annus tropicus*), istniała już w r. 325 i zajmowała Ojców Soboru w Nicei, kiedy radzili nad ustaleniem święta wielkanocnego. Na soborze w Kostnicy i na zborze w Bazylei poruszali tę sprawę uczeni: Piotr ab Alliaco i Mikołaj z Kuzy, a Sobór w Trydencie zdał tę sprawę papieżowi. Ten *annus correctionis*, ogłoszony przez Grzegorza XIII, przyjęty został przez cały świat chrześcijański, bo nawet protestanci go przyjęli, po dłuższym oporze (1752). Skoro zaś zaprowadzony został w Polsce, wynikała sama przez się konieczność przyjęcia tego samego kalendarza i zaprowadzenia tej samej rachuby czasu przez Rusinów. W tem tylko była trudność, że kniaź moskiewski, który nie daremnie i nie bez celu, tytułował się *car wsieja Rossyi*, a którego zawsze uważano za głowę prawosławnej Cerkwi, o zmianie kalendarza słuchać nie chciał.

Wiemy przecie, że kniaź Konstanty Ostrogski sam był za unią z Rzymem, lecz chciał ją nawiązać w porozumieniu z kniaziem moskiewskim i dlatego radził władyce włodzimirskiemu Hipacemu Pociejowi (w liście z Lublina 21 czerwca 1593), iżby w porozumieniu z metropolitą, władykami i królem, pojechał do wielkiego kniazia moskiewskiego i z tym W. Kniaziem i Duchownemi ziemie tanecznej porozumiał się." Hipacy Pociej jednak nie posłuchał tej rady, bo wiedział, jaki los spotkał w Moskwie metropolitę Rusi Izydora, kiedy tam pojechał (1441) ogłosić przyjętą na Rusi unię florencką. Wiadomo bowiem, że ledwo z życiem uciekł z rąk kniazia Wasila.

Był to więc śmiały krok ze strony władyków ruskich, że przyrzekali nowy kalendarz przyjąć „*jeśli inaczej być nie może*", a chociaż w gruncie rzeczy tego nie pragnęli. Wynika to z listu, który pisali dwaj władycy z Rzymu do prymasa Karnkowskiego (13 czerwca 1596). Czytamy bowiem w tym liście: „Krótko mówiąc, najmniejszej rzeczy nam nie odmówiono i *kalendarza starego nam dozwolił*, mówiąc, jeśli macie swoje prowincye, albo miasta takie, gdzieby rzymian nie było, tedy możecie sobie po staremu święta święcić; albo gdzieśmy powiedzieli, że nie tylko prowincye, albo miasta, ale i dom rzadki, w którymby nie byli pomieszani Ruś i rzymianie, też samo tedy ukazało słuszną przyczynę, *że kalendarz po nowemu ma być*, boby, powiada, wielka mieszanina i trudność na samychże Was była, gdziebyście oboje święta święcili; a tak lepiej jednego dnia święta święcić, jeden drugiemu nie urągając się." „A ponieważ już *wszystko swoje mamy, oprócz tego kalendarza*, o cóż tu mają narzekać adwersarze nasi na tę świętą zgodę. Ale rzeką, żeśmy patryarchów odstąpili: o dla Boga! a zaś nie lepiej być pod posłuszeństwem pasterza powszechnego Kościoła Pana Chrystusowego, którego sam Pan Bóg przez elekcyę wiernych chrześcian obiera i na tej świętej stolicy sadza, aniżeli nad tymi, których Mahomet sprośny podaje, a kiedy chce zrzuca. Za nic tam elekcya, kto więcej da, ten elektem póty, póki go kto nie podkupi a więcej nie da turczynowi: bośmy tego doświadczyli, że nie dawno jednym razem trzej patryarchowie konstantynopolscy byli. Niechajże mi to moja miła Ruś uporna zgadnie, który z tych trzech, był prawdziwym pasterzem naszym".

Trudno pogodzić sprzeczność widoczną w tym liście władyków, albowiem najpierw piszą, że papież „*kalendarza starego nam dozwolił*", a następnie wyraźnie temu przeczą, bo piszą, że *kalendarz po nowemu ma być* i że wszystko swoje mają *prócz tego kalendarza*.

Klemens VIII nie wspomniał nic o kalendarzu w buli „*Magnus Dominus et laudabilis nimis*" (1595) i w breve: „*Benedictus sit Pastor ille bonus*," któremi unię urzędownie ogłosił. Zatwierdził obrzędy i ceremonie Rusinów, które nie zawadzają unii: „*concessimus Ritus et ceremonias vestras, quae fidei catholicae integritatem et mutuam nostram conjunctionem nequaquam impediunt*", ale nie zatwierdził starego kalendarza, bo tego zrobić nie mógł. Cały bowiem Kościół katolicki przyjął nowy kalendarz, od wieków upragniony, świeżo przez papieża Grzegorza XIII zaprowadzony: jakże więc miał Klemens VIII robić wyjątek dla Rusinów, skoro do jedności z rzymskim Kościołem przystępowali?

Zdaje mi się też, że należałoby zrobić korekturę stylistyczną w tem, co papież mówił o pomieszaniu ludności polskiej i ruskiej, tj. że mówił: gdybyście mieli (si haberitis) swoje prowincye i miasta osobne, a nie mówił: jeżeli macie (si habetis). Opieram zaś to przypuszczenie na tem, że Klemens VIII znał stosunki w Polsce, bo był legatem przez dwa lata (1588--1589), jako kardynał Hipolit Aldobrandini. Jak zaś dobrze się informował o naszych stosunkach, świadczy jego nuncyatura, czyli relacye z Polski, przesyłane do Rzymu, które wydał X. dr. Aleksander Kakowski, teraźniejszy arcybiskup warszawski. Nie zawadzi też przypomnieć, że kardynał Aldobrandini, był amatorem piwa polskiego, warzonego w miasteczku Warce nad Pilicą niedaleko Warszawy. Zostawił też dla następców swoich instrukcyę, kiedy i wiele trzeba tego piwa z Warki sprowadzić i jak je zakonserwować. Co ważniejsza, temu piwu zawdzięczał uratowanie od śmierci. Zachorował bowiem na wrzód w gardle, a że chirurgia ówczesna operacyi potrzebnej jeszcze nie znała, przeto

nie było ratunku. Łoże chorego otoczyli domownicy i służba, odmawiali modlitwy za konających i litanię do WW. Świętych. Tymczasem papieżowi dokuczało straszne pragnienie i wtedy przypomniało mu się piwo z Warki. Wyszeptał więc: o piwo di Warka! Otoczenie, sądząc, że papież wzywa jakiejś świętej Piwy, powtórzyło głośno: „*Sancta Piva di Varca — ora pro nobis!* Ta inwokacya pobudziła papieża do tak gwałtownego śmiechu, że wrzód pękł w gardle i niebezpieczeństwo minęło.

Tyle jest rzeczą pewną, że o zaprowadzeniu gregoryańskiego kalendarza u Rusinów nie było wcale mowy, tak dalece, że na prowincyonalnym synodzie gnieźnieńskim, prymasa Macieja Łubieńskiego (1643), a więc 47 lat po ogłoszeniu unii w Brześciu — uchwalono prosić Ojca św., żeby unitom pozwolił używać kalendarza gregoryańskiego, czego już dawno Kościół rzymski pragnął i coby unitom wyszło na dobre. *(Suae Sanctitati supplicat, ut quod jam olim Romana desideravit Ecclesia, magnoque ad Unionem adjunctis fore putatur bono, Calendario Gregoriano Ruthenis uti liceat).* Z tej uchwały synodu wynika, że Polacy byli mylnie poinformowani w sprawie kalendarza, skoro prosili, żeby Urban VIII na to pozwolił, co już Klemens VIII nakazał. Widocznie utarło się to, co pisali ze Rzymu do prymasa Karnkowskiego władykowie władymirski (Pociej) i łucki (Cyryl Terlecki), że papież kalendarza starego im dozwolił, chociaż w rzeczywistości miała się rzecz wręcz przeciwnie.

Tolerancya nasza w sprawach religii dochodziła do ostatnich granic, tak, że wygląda zupełnie na obojętność i dlatego stary kalendarz juliański trwa do dziś dnia. Możnaby do tego zastosować łacińskie: „*errare humanum est, sed in errore perseverare nullius, nisi insipientis*“ — boć każdy wie, że kalendarz juliański jest wobec nauki niedorzecznością. Lecz gorsze były te szkody, jakie wywoływał w społeczeństwie przez podwójne święta. Dosyć wskazać na uniwersytet lwowski, gdzie podwójne muszą być przerwy w wykładach, raz z powodu świąt polskich, a potem znowu ruskich, a przecież i ekonomiczne szkody, wywołane przez podwójne przerwy w robotach polnych i przemysłowych, powinny iść także w rachubę, bo nędzę galicyjską, opisaną tak dosadnie przez St. Szczepanowskiego, jeszcze bardziej powiększały. Ten stary kalendarz był też przyczyną, że nie można było w państwie austro-węgierskiem domagać się ustawy, przepisującej święcenie dni świątecznych, bo byliby Polacy w Galicyi musieli także święcić ruskie święta. Jeśli zaś papież Klemens VIII mówił o „zamieszaniu“, to miał świętą racyę, bo dosyć wskazać na to, że w W. Piątek, kiedy w Kościele katolickim panuje głucha cisza, po cerkwiach właśnie dzwonią zawzięcie — a każdy wie, że tłuką w dzwony godzinami.

Po pierwszym rozbiorze poruszył pierwszy gubernator Galicyi hr. Pergen sprawę starego kalendarza i zwrócił się z tem do władyki lwowskiego Leona Szeptyckiego, lecz władyka odpowiedział (30 grudnia 1773), że i Stolica ap. i król polski przyznali Rusinom prawo używania juliańskiego kalendarza. Tyle jest w tem prawdy, że nadużycie było tolerowane. Jednakże Józef II dał (r. 1787) Rusinom pozwolenie na to, żeby się starego kalendarza trzymali. Rok to pamiętny, bo właśnie wtedy przypadła Wielkanoc równocześnie u Polaków i Rusinów. W trzy lata później, po śmierci Józefa II (1790), ponowił to pozwolenie jego brat młodszy Leopold.

Kalendarz juliański miał jednak dla Rusinów daleko większe znaczenie, niżby się mogło zdawać, służył bowiem razem z moskiewskim alfabetem, tzw. grażdżanką, za środek odróżniania się od Lachów i ochroną przed zupełnem spolszczeniem, mianowicie w XVIII wieku, kiedy obrządek ruski doznał znacznych zmian, uchwałami synodu Zamoyskiego (1720).

Przypomnieć tu trzeba, że tak samo, jak Józef II utworzył duchowną komisyę nadworną *(Geistliche Hof-Commission)*, wyznaczył też sejm czteroletni deputacyę kościelną, która miała radzić nad sprawami kościelnemi. Ta deputacya postawiła w sejmie wniosek, w miesiąc po śmierci Józefa II (26 marca 1790) o nadanie krzeseł w senacie władykom ruskim a mianowicie metropolicie Rusi Teodozemu Rostockiemu. Sejm zgodził się na to ostatnie, ale brat króla Stanisława ks. podskarbi Poniatowski domagał się za to, żeby metropolita, w porozumieniu ze Stolicą ap., starał się o zaprowadzenie na Rusi nowego kalendarza. Król poparł ten wniosek osobiście, wykazując wielkie korzyści, jakieby wynikły dla kraju z jednego wspólnego, kalendarza. „Ponieważ kalendarz stanowi największą różnicę i oddzielność pomiędzy Cerkwią a Kościołem, przeto powinien być stary kalendarz usunięty. Nie przeszkodzi to Rusinom w zachowaniu osobnych świąt i postów, a kraj zyska kilkadziesiąt dni roboty. Wiadomo przecie, że Polacy zmuszeni są w niejednej okolicy zachowywać kalendarz ruski, dlaczegoby więc unici w Polsce nie mogli przyjąć gregoryańskiego kalendarza? Skoro zaś kalendarz ten stanie się prawem w Rzeczypospolitej, to i dyzunici przyjmą kalendarz rzymski i nie będą mogli się wyróżniać“.

Niestety, przeciwko tej mądrej radzie króla, podniósł głos biskup łucki Cieciszowski, który utrzymywał, że zaprowadzenie rzymskiego kalendarza zniechęciłoby ludność ruską. Poparł go ks. Kazimirz Nestor Sapieha, marszałek laski litewskiej, który dowodził, że nie można nakładać na metropolitę obowiązku zmiany kalendarza, bo Ruś powiedzą: zrobiliście metropolitę senatorem, żeby nas przerobić na Polaków. (Kalinka, Sejm czteroletni II. 409). — Ks. Sapieha doskonale pojmował znaczenie kalendarza juliańskiego dla Rusinów i tem się tłumaczy ich odwieczny upór. Tak więc wszedł metropolita Teodozy Rostocki do senatu polskiego i złożył (9. września 1790) przysięgę senatorską królowi — i znowu Rusini coś zyskali, lecz ze swego stanu posiadania nie ustąpili ani na jotę. — Czy to także była krzywda?

O samej kwestyi krzeseł w senacie napiszę osobno; tutaj zaznaczę tylko, że mam zupełnie odmienne zdanie i nie zgadzam się z zapatrywaniem „większości historyków“ — jak świeżo powiedziano — jakoby krzesła te należały się władykom ruskim.

Sprawa kalendarza juliańskiego spoczywała przez 110 lat od czasu, kiedy ją na sejmie czteroletnim król polski poruszył. Nie było już potrzeby odgradzać się kalendarzem od niebezpiecznych przez swoją wyższą kulturę Lachów, bo państwo ich rozdarte na trzy zabory, nie tworzyło już zwartej całości, a car — jako głowa Cerkwi prawosławnej — mógł być spokojnym o swój wpływ

i znaczenie, naprzeciwko papieżowi, pozbawionemu własnego państwa, które tworzyło podstawę jego suwerenności. Mimo to r. 1900 poruszono w Rosyi sprawę zaprowadzenia kalendarza gregoryańskiego. Przydarzyło się bowiem, że rok ten był przestępny w kalendarzu juliańskim i różnica urosła tymczasem — od zaprowadzenia gregoryańskiego kalendarza, z dziesięciu do czternastu dni. Trochę też oglądano się na opinię Europy, bo przecie cesarstwo rosyjskie stało się europejskiem od czasu rozbioru Polski, a trzymało się jeszcze przestarzałego kalendarza, co przypominało jego dawne azyatyckie pochodzenie. Wszelako ważniejsze sprawy polityczne zajmowały wówczas głowy petersburskich, czy piotrogrodzkich polityków, aż megalomania doprowadziła do wojny z Japonią. Niefortunna ta kampania wywołała niesłychany ferment rewolucyjny, tak że wielką wojnę europejską wyobrażano sobie jako środek zaradczy przeciwko grożącemu przewrotowi społecznemu.

Wśród tej straszliwej światowej zawieruchy zawiodły jednak wszelkie ludzkie rachuby, a przedewszystkiem Moskali, którzy w Galicyi zaczęli się już urządzać, jak w swoim kraju i poczęli na dobre zaprowadzać schizmę, zwaną szumnie „prawosławiem". Odeszła jednak ta horda, jak morska fala, która się odbija od skalistego brzegu — i wtedy to odezwał się głos prawdziwie katolickiego biskupa, władyki Chomyszyna, który listem pasterskim, datowanym 15. lutego 1916, przepisał w swojej dyecezyi stanisławowskiej używanie kalendarza gregoryańskiego.

Dodać tu trzeba, że władyka Chomyszyn nie działał bez namysłu i podstawy, bo opierał się na tem, że rząd węgierski zaprowadził tegoż roku kalendarz gregoryański u Rusinów na Węgrzech, przyczem poszedł jeszcze o krok dalej, bo nakazał używanie alfabetu łacińskiego, zamiast moskiewskiej grażdżanki. — Co więcej, władyka Chomyszyn zasięgał poprzednio rady konsystorza we Lwowie (skąd metropolita Andrzej Szeptycki był wywieziony przez Moskali do Kurska) i ordynaryatu w Przemyślu. Obie te władze duchowne wyraziły zgodę na postanowienie władyki Chomyszyna i dlatego wydał tenże wspomniany list pasterski, powołując się na to, że zmianę kalendarza powinienby uchwalić synod, lecz na synod czekać trzebaby długo. Albowiem władycy ruscy nie kwapili się ze zwoływaniem synodów, tak że od synodu w Zamościu (1720) minęło lat 171, nim drugi synod, do Lwowa, zwołał (1891) metropolita Sylwester Sembratowicz. Skoro zaś nawet Turcy zamierzali już wówczas zaprowadzić w swojem państwie kalendarz rzymski, to nie było racyi, żeby katolicy, chociaż greckiego obrządku, dłużej się przy moskiewskim kalendarzu upierali.

Z jednem się tylko nie obliczył władyka Chomyszyn, t. j. ze ślepą nienawiścią t. zw. Ukraińców, na których czele stoi t. zw. „Rada Ukraińska". Ta Rada wysłała też deputacyę do ówczesnego ministra wyznań i oświecenia w Wiedniu, Hussarka, z protestem przeciwko tej innowacyi swojego biskupa. Źle jednak trafili, bo minister odprawił deputacyę z niczem, nie wdając się z nią wcale w dyskusyę. Wiem, że to, co tu piszę, chowają w sekrecie, przeto będzie tym panom niemiłe, może więc zaprzeczą, ale myślę, że tego nie zrobią.

Takie to katoliki! — pojechali ze skargą do Wiednia, kiedy Leon XIII. przepisał reformę Bazylianów, — o czem była poprzednio mowa — i pojechali teraz do Wiednia ze skargą na swojego biskupa: a przecie tyle powinniby wiedzieć, jakie kary naznacza zakon Cerkwi wschodniej za apelacye, wnoszone do świeckiego trybunału, od sądu duchownego.

Co się stało z tem rozporządzeniem władyki Chomyszyna, czy to prawda, że je cofnął metropolita Andrzej Szeptycki: nie umiem powiedzieć, bo nie opieram się na wiadomościach, podawanych przez gazety. Tyle zdaje mi się rzeczą pewną, że Ukraińcy pragnęli zachować moskiewski kalendarz dla krainy marzeń swoich: „Wielkiej Ukrainy".

(C. d. n.).

O wartości pracy

(z okazyi zmniejszenia liczby świąt).

Głębokie myśli zasłużonego profesora Paciorkiewicza wrpowiedziane w Gazecie Kościelnej z 17 maja b. r. nasunęły mi ten prosty, a poniekąd na czasie temat. Słusznie powiedział gdzieś Goethe, że tematem historyi świata jest walka między wiarą a niewiarą. I w naszym wieku rozgrywa się ta walka, a w niedalekiej przyszłości może zawzięciej rozgrywać się będzie, bo są już ku temu niedwuznaczne objawy. Apostołowie przewrotu zaprzęgają w jarzmo swych idei całe masy robotników, podniecają już nawet lud wiejski, spokojnie dotąd pracujący na roli. Wszystkim burzycielom dotychczasowego porządku — z socyalistami na czele — chodzi głównie oto, by olbrzymie masy zniechęcić do religii i Kościoła, przez wykazywanie mu jego „nieproduktywności" w porządku doczesnym.

Potrzebnym i uzasadnionym reformom w kwestyi społecznej nikt dobrze myślący nie może w poprzek stawać i wcześniej, czy później, przyjść one muszą. Przewrotowcy jednak pracują wbrew prawom i zasadom.

Jakąż bronią posługują się do osiągnięcia swych celów? Oto usiłują przedstawić religię chrześcijańską i Kościół katolicki jako wrogów pracy i stanu pracującego. Z szyderstwem powtarzają słowa Zbawiciela: „Nie troszczcie się o duszę waszą, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali!"[1]). Na ten ton nastrojone są przemówienia na publicznych zgromadzeniach, broszury i pisma ulotne, a nawet przy kuflu piwa dają się tu i ówdzie słyszeć podobne przytyki i drwinki.

Zarzut przytoczony może na pierwszy rzut oka nie wydaje się tak niebezpiecznym, jak jest rzeczywiście. Cóż ludzi zapatrzonych jedynie w tę ziemię, bardziej może razić jak sprzeciwianie się gonitwie za mamoną, szalonej „sacra auri fames"? W pędzie za zmysłowem używaniem dzisiejszy świat skruszy wszystkich i wszystko, co napotka na drodze.

Czy jednak w tym zarzucie, jakoby Kościół katolicki był nieprzyjacielem pracy, jest choć odrobina słuszności? Że niema, świadczy choćby fakt, iż Kościół ogranicza liczbę świąt, by tem więcej pozostawić czasu warstwom pracu-

[1]) Mat. VI. 25.

jącym. O głębszą i obszerniejszą odpowiedź zapytajmy historyę.[1]) Przedtem jednak odpowiedzmy sobie na pytanie, czem jest praca?

Praca — powiadają jedni — to zabawa, rozrywka i unoszą się nad jej wartością, nad zadowoleniem, jakie ma dawać nawet wśród nieszczęść. Tak mówią ci, którzy siedzą przy zielonych stolikach, w pięknych pokojach, a nie znając z własnej praktyki pracy, bo jej nigdy naprawdę nie zajrzeli w oczy, szukają na nią określeń po książkach, a znalazłszy definicyę, ukutą przez sobie podobnych, głoszą ją „ex cathedra“ „urbi et orbi,“ racząc swym wynalazkiem niższych od siebie i mniej szczęśliwych. Oto pisze jeden:

„Im więcej pracy, tem więcej siły! Praca jest ważnym środkiem, podtrzymującym nasze zdrowie fizyczne i duchowe. Nuda jest szkodliwą, a ziewanie zdradza, że w płucach płynie krew nieregularnie. Dlatego praca przyczynia się do zdrowia, a równocześnie pociesza w nieszczęściu, bo kto musi ciężko pracować, ten nie ma czasu czuć się nieszczęśliwym, a próżnowanie jest początkiem wszystkich grzechów“[2]). Zdania takie brzmią pięknie, miejscami nawet po arcykatolicku, ale w tych miękkich i słodkich słowach czujemy jakby „zgrzyt żelaza po szkle“, a tym rozdźwiękiem to przekleństwa i złorzeczenia, jakie się wyrywają z ust milionów, skazanych na to, by dzień po dniu dźwigać twarde jarzmo pracy dla zdobycia dla siebie i swoich kawałka czarnego chleba.

Praca jest ciężarem — wołają drudzy — bo, gdyby sprawiała przyjemność, czyżby ją miliony ust przeklinały? Czy ten, który z musu idzie do fabryki, lub warsztatu, pędzony głodem, doznaje w pracy pociech i słodyczy? Wszak za uciechami ludzie gonią a od pracy stronią! Że praca jest ciężarem, na to mamy dosyć dowodów w historyi. Poganie nie taili się ze swą niechęcią, pogardą a nawet nienawiścią do pracy. W Rzymie i Grecyi żaden skazany na ciężką, codzienną pracę, nie mógł być wolnym obywatelem państwa, a jeżeli nim był, przez pracę spadał do rzędu miejskiego motłochu. Doskonałą ilustracyą ówczesnych stosunków był wypadek cesarza-prześladowcy Domicyana z krewnymi apostoła św. Judy Tadeusza. Bojąc się, by jako krewni apostoła nowej religii, nie byli przypadkiem niebezpiecznymi dla jego tronu, kazał ich stawić przed swe oblicze. Ale, jak tylko zobaczył ich spracowane ręce, kazał ich natychmiast puścić wolno, jako ludzi nic nie znaczących.

Wobec dwóch krańcowo przeciwnych zdań, żadne z nich prawdziwem nie będzie, ale prawda będzie — jak zwykle — z pośrodku, a prawdę tę o pracy głosi religia Chrystusowa Kościół często przypomina wiernym zdanie Joba:

„Człowiek się rodzi na pracę, a ptak na latanie“[3]). Ptak męczy się lataniem, ale i przyjemność w niem znajduje, bo to jego żywioł. Podobnie ma się rzecz i z człowiekiem: praca go nuży, ale owoce jej radość przynoszą. Kościół stawia jako wzór najdoskonalszy pod każdym względem do naśladowania Chrystusa Pana, a więc i pod względem pracy. Wszak Chrystus, który w Nazarecie dał z siebie przykład skrzętnego syna i pracowitego pomocnika, na budowniczych Królestwa bożego na ziemi wybrał ludzi, żyjących z pracy rąk, a apostołowie, mimo wysokiego posłannictwa swojego, trybu życia nie zmienili. Wobec tego upada zarzut, jakoby religia chrześcijańska wrogą była pracy i pracującym. Religia Chrystusowa była potrzebną wszystkim, a najpotrzebniejszą najbardziej uciśnionym i upośledzonym. Zbawiciel przyszedł podźwignąć i pociągnąć w górę za sobą wszystkich, a więc i warstwy pracujące. Aby to nastąpić mogło, musiał najpierw uszlachetnić środek do życia warstw najniższych, tj. pracę.

Nowa religia miała przynieść nie tylko zbawienie w znaczeniu religijnem, ale i w znaczeniu społecznem. Dlatego właśnie Chrystus Pan chciał w oczach ziomków uchodzić za „syna cieśli z Nazaretu“. Ubogi domek rzemieślniczy w Nazarecie stał się — że tak powiemy — akademią, najwyższą szkołą pracy. Zbawiciel zdjął z pracy klątwę, którą ją grzeszna ludzkość obłożyła. Krzyż, jaki dziś przynosi z sobą praca, nie hańbi, bo otacza go aureola świętości.

I religia chrześcijańska nazywa pracę karą za grzechy praojców, ale równocześnie uczy, że ona jest zarazem pokutą, a to ją czyni znośną. Byłoby czczem marzeniem i ułudą obiecywać sobie, albo się spodziewać, że wróci „aetas aurea“, że kiedykolwiek nastaną stosunki społeczne, w których obejdzie się bez pracy. Po wsze czasy praca będzie podstawą materyalnego bytu człowieka. Ale chociaż jest rzeczą niemożliwą zdjąć z ludzkości jarzmo pracy, pozostaje jeszcze jedno wielkie i zaszczytne zadanie: uczynić je lżejszem. Najskuteczniejszym środkiem do osiągnięcia tego celu to myśl o krzyżu Chrystusowym, myśl o pokucie za grzechy i o pracę nad sobą. W ten sposób praca staje się czynem moralnym, a czyn ten — ustalony — nazywa się cnotą i ma prawo do czci i szacunku, podczas gdy jego przeciwieństwo, tj. lenistwo i próżnowanie staje się niegodziwością. Kiedy więc chrześcijaństwo tak ocenia pracę, to niema powodu posądzać go o zacofanie, o brak zrozumienia postępu, boć przecież cała kultura i wszelki postęp ludzkości polega na pracy. Stąd prosty wniosek, że religia katolicka i Kościół są największymi pionierami i opiekunami kultury.

Religia Chrystusowa nie zamilcza bynajmniej, iż praca jest jednym z naturalnych obowiązków człowieka. Wszak czytamy w Piśmie św.: „Wziął tedy Pan Bóg człowieka i posadził go w raju rozkoszy, *aby sprawował i strzegł go*“[1]). Jeżeli Bóg przez stworzenie okazał swą mądrość i potęgę, to i człowiek, jako obraz i podobieństwo boże, winien pracą swoją ujawnić tę iskrę mądrości i mocy, jaką otrzymał z rąk Stwórcy. Cała natura wprzągnięta w rydwan człowieka. Dla niego wszystkie twory spełniają jakąś pracę, czyżby on jeden miał być wyjętym z pod powszechnego prawa? Przecież właśnie przez spełnianie tego prawa, czy obowiązku, okazuje swą godność, spełnia powołanie króla stworzenia. Aby zaś człowiek nie wzdrygał się przed pracą, by szedł chętnie za swem przeznaczeniem, religia chrześcijańska uszlachetnia i uświęca pracę. I od zarania chrześcijaństwa rozpoczyna się owo parcie ducha

[1]) Por. rozprawę X. Dra A. Pechnika p. n. „Kościół i kultura“ (Lwów 1914. Odb. z Mies. Kat. i Wych.) Dop. autora.

[2]) Giżycki: „Der neue Adel“ — Berlin 1902, str. 29. 33, 35.

[3]) V. 7.

[1]) Ks. Rodzaju II. 15.

ludzkiego naprzód, owa uzasadniona duma z wspaniałych wyników, wieńczących trudy i mozoły, o czem świadczy kultura świata chrześcijańskiego.

Pierwszemi schroniskami i przytuliskami kultury były klasztory, które nie tylko ją wytwarzały i podtrzymywały, ale starały się ją rozszerzać w ślad za postępami Ewangelii. Dzięki klasztorom i innym osadom kościelnym ostała się szlachetna kultura starożytna mimo zalewu ludów barbarzyńskich, a nawet mogła się połączyć z nowemi ideałami, by stworzyć niebywałą dotąd, wspaniałą, harmonijną całość. Tak było już w zaraniu naszej ery. A w wiekach średnich tak samo klasztory były pierwszymi warsztatami, gdzie uczyli się ludzie rzemiosła, tam uczyli się uprawiać ziemię, tam były wyższe szkoły, tam wreszcie powstawały miasta.

Chrześcijaństwo wprowadziło w życie hasło, nieznane poganom: „Módl się i pracuj!" Miliony wiernych naśladowców Chrystusa-Mistrza tem hasłem oddychały, walczyły i zwyciężały. Dwie części tego hasła stoją w ścisłym ze sobą związku; gdy ten związek się rozluźni, praca traci urok, bo ulata duch, który ją ożywiał i czynił znośniejszą.

Niestety! — w naszych czasach coraz częściej to wzniosłe hasło chrześcijańskie zastępuje się zdawkowymi frazesami, które na dalszą metę nie wystarczą, nie łączy się pracy z modlitwą i dlatego praca idzie w poniewierkę i pogardę. I znów powstają tacy, którzy pytają, czy też Kościół katolicki nie myli się, polecając pracę; przecież ona czyni człowieka niewolnikiem, a niewolników tych dziś tak dużo?! A kto odgadnie, do czego jeszcze dojdzie?

W odpowiedzi tylko tyle zaznaczyć wystarczy, że nie religia chrześcijańska, nie Kościół katolicki temu winien, iż praca czyni ludzi niewolnikami, ale ludzie sami sobie służą za kata i sami wplątają się w koło cierpień, przez to, iż stronią od Kościoła.

Z zanikiem ducha religijnego znika także moralny charakter pracy; praca traci cechę ofiary i pokuty, a staje się szarą, nudną rzeczywistością, bezdusznym mechanizmem; jeszcze jednak i wtedy ma praca wartość, ale tylko dla tych, którzy ją dla swych celów wyzyskać potrafią, którzy tysiącami rąk ludzkich posługują się jako materyalnem narzędziem do gromadzenia olbrzymich kapitałów.

Znajdą się jeszcze i dziś ideowcy, którzy wyszukują w miejsce religijnych jakieś inne pobudki, by zapalić robotnika do pracy; wmawiają weń uczucia altruistyczne, ogólno-ludzkie, hasła postępu, wdzięczność przyszłości i tp. Lecz znużony robotnik słusznie im odpowie, na co mu się zda postęp, czy ogólny dobrobyt, gdy z niego już będą tylko prochy, a dzieci jego może żebrać będą; albo na co mu się zdadzą wątpliwe pochwały za lat sto, gdy jemu się dziś jeść chce? Frazesy dobre są i wystarczą może tylko dla ich twórców — teoretyków.

Jedynie religia krzyża daje pracy wdzięk i powab i odejmuje jej gorycz, bo z krzyża spływa na nią światło, siła i życie, przyoblekа ją nimbem świętości, ideą ofiary jak poranna zorza złocistą purpurą szare i zaspane wierzchołki ziemskich szczytów.

Kto zatem człowiekowi, żyjącemu z pracy rąk, wydziera religię, ten popełnia ciężką zbrodnię, bo pozbawia go największej pociechy i podniety do pracy, odbiera mu środek, który jedynie trwałym jest motywem, aby wszyscy, jakiejkolwiek oddający się pracy, pracę cenili i szanowali jako wielką dźwignię doczesnego i wiekuistego szczęścia.

X. dr. Jan Czuj.

Studya alumnów józefińskiego seminaryum generalnego o. ł. we Lwowie (1783—1790).

(Ciąg dalszy).

Bardziej może demoralizująco, aniżeli podręczniki, wpływali na naszą młodzież duchowną profesorowie teologii. Żywy przykład zawsze więcej pociąga, niż martwe słowo.

Przed otwarciem seminaryum generalnego było we Lwowie zaledwie dwóch profesorów teologii, a byli nimi dwaj Dominikanie: profesor dogmatyki X. Wincenty Dichanich i profesor moralnej X. Bernard Domosławski. W roku szkolnym 1783/4 przybyły nowe siły, gdyż organizowane przez cesarza studyum teologiczne domagało się większego kolegium profesorów. Zjechali zatem do Lwowa X. Jan Chrzciciel Finsiger, profesor historyi kościelnej i encyklopedyi, kapucyn X. Innocenty (Ignacy imię chrzestne) Fessler, profesor języka hebrajskiego i hermeneutyki St. T., X. Józef Rotter, profesor języka greckiego i hermeneutyki N. T. i Cysters X. Rajmund Pelz, profesor patrystyki i polemiki. Dawny dyrektor studyum teologicznego X. Dichanich pozostał na tem stanowisku i w tym roku szkolnym.

Z utworzeniem uniwersytetu józefińskiego weszli nadto do grona X. Antoni Angełłowicz dla drugiej części dogmatyki (Dichanich wykładał część pierwszą) i X. Mikołaj Skorodyński dla pastoralnej w języku polskim. Prawa kościelnego, jak już zaznaczono, słuchali alumni na wydziale prawniczym, a wykładał je Jan Ambros.

Ośmiu zatem profesorów tworzyło z początkiem roku szkolnego 1784/5 kollegium teologiczne, na którego czele stanął nowy dyrektor studyum teologicznego, dziekan X. Finsiger. Godność tą piastował prof. historyi do r. 1790.

W ciągu następnych lat zaszły w tem gronie pewne zmiany. Kiedy w r. 1785 skrócono pięcioletni kurs teologii na czteroletni, wskutek czego usunięto katedrę patrystyki i polemiki, X. Pelz opuścił Lwów i przeniósł się do Fryburga. W roku następnym przybyła znów nowa katedra pastoralnej w języku polskim, a wykłady tego przedmiotu poruczono X. Janowi Potoczkiemu. W r. 1787. porzucili swe katedry X. X. Angełłowicz i Skorodyński, z których pierwszy został kanonikiem i rektorem ruskiego seminaryum generalnego, drugi zaś wikaryuszem generalnym lwowskiego gr. kat. biskupa Piotra Bielańskiego. Po X. Angełłowiczu wykładał dogmatykę jakiś czas Fessler, dopóki sam w r. 1788. nie umknął ze Lwowa, a po X. Skorodyńskim uczył pastoralnej kleryk Michał Harasiewicz. W tymże roku 1788. usunięto starych profesorów Dichanicha i Domosławskiego. Miejsce pierwszego zajął X. Józef Wimmer, wobec zredukowanego do trzech lat kursu teologicznego już tylko jeden profesor dogmatyki, miejsce zaś drugiego X Andrzej Paulovits.

Wszyscy ci niemal profesorowie, uważając się za apostołów „oświecenia“ i misyonarzy idei józefińskich we Lwowie, pracowali — jak się ironicznie w swych listach wyraża Kratter — „na łeb i szyję nad oświeceniem rozumu i poprawą obyczajów“, starali się za wszelką cenę wykorzenić „nadużycia religii, zabobon i fanatyzm księżowski“ [1]). Nie mamy bynajmniej zamiaru podawać życiorysów poszczególnych profesorów, uczynił to już prof. Finkel, do którego też czytelników odsyłamy [2]), dla całości obrazu musimy jednak i o nich parę słów powiedzieć.

Grono profesorów teologii na uniwersytecie lwowskim w latach 1784 — 1790 możnaby podzielić na dwie grupy. Pierwszą tworzyli ludzie „starej daty“, do drugiej należeli „oświeceni“.

Kółko pierwszych było bardzo szczupłe, bo liczyło zaledwie dwóch członków, XX. Dichanicha i Domosławskiego. Trudno było starym profesorom nagiąć się do nowego kierunku i o ile tylko mogli, występowali przeciw niemu w swych wykładach. Praca ich jednakowoż, paraliżowana przez innych kolegów, była bezskuteczną i rychło stracili wpływ na młodzież duchowną, dla której nowy kierunek był o wiele wygodniejszym. W jakim stopniu słuchacze zapalali się do „nowości teologicznych“, a niechętnie ulegali starym profesorom, świadczy ta okoliczność, że kiedy X. Dichanich na swoich godzinach dogmatyki prostował błędne teorye X. Fesslera, słuchacze hałasami i tupaniem nóg starali się przeszkodzić temu [3]).

Inni profesorowie, zupełnie oddani reformatorskim dążnościom wieku „oświecenia“, które to „oświecenie“ u niektórych z nich było jedyną kwalifikacyą na to wysokie a tak odpowiedzialne stanowisko, jakiem jest profesura uniwersytecka, stanowili drugą grupę.

W niej wybijał się na pierwszy plan kapucyn O. Innocenty, od r. 1787. sekularyzowany X. Ignacy Fessler. Zanim znalazł się na katedrze lwowskiej, a osiągnął ją dość wcześnie, bo w 29. roku życia, zmieniał już cztery razy swe przekonania religijne. Był katolikiem, deistą, jansenistą, ateuszem, chociaż na zewnątrz zawsze udawał katolika. Stanął we Lwowie — jak sam wyznaje — „bez wiary, bez religii, pełen martwej nauki książkowej, z pustem sercem“ [4]). I ten profesor bez wiary, bez religii, wykładał Pismo św; kapłan bez wiary, bez religii, spełniał misyę wychowawczą nad młodymi lewitami Kościoła katolickiego. Głośno mówiono o głoszeniu zbyt liberalnej nauki przez kapucyna. Ten w pierwszych latach profesury nie obawiał się tych uwag, ufny w „znany oświecony sposób myślenia monarchy i komisyi studyów“. W końcowych jednakże latach pracy profesorskiej na katedrze lwowskiej złagodniał Fessler w swych zapędach antykatolickich. Uczynił to z obawy utraty katedry [5]). Bardziej niż głoszeniem nauki z katedry, oddziaływa profesor teologii na umysły swych słuchaczy przykładem własnego życia. Życie zaś kapłańskie Fesslera nie było zbyt budujące. Ile gorliwości okazał jako kapłan, niech sam powie: „Jako profesor uniwersytetu — zeznaje — nie byłem obowiązany do żadnej czynności kapłańskiej; ponieważ jednak sufragan hr. Kitki Kicki [1]) zaofiarował mi z własnego popopędu jurysdykcyę na słuchanie spowiedzi, służyłem przeto jako spowiednik niektórym dobrym ludziom ze sfer wykształconych i odprawiałem Mszę, jeśli ci, odpowiednio do ducha Kościoła, chcieli wraz ze mną komunikować. Poza tymi rzadkimi wypadkami, sprawowałem katolicko-kościelne tajemnice tylko wtedy, jeśli na wielkie święto zaproszono mię do jakiegoś kościoła z uroczystą celebrą; oto wszystko, co uczyniłem jako kapłan w ciągu pięciu lat mego urzędu profesorskiego“ [2]). Jeśli się do tego doda, że „zdradzał lekkomyślność nie licującą z powołaniem“, to życie kapłańskie Fesslera mogło niejednego alumna zgorszyć. Nie przynosiła katedra ekskapucyna pożytku słuchaczom, ale też i jemu samemu nie dawała zadowolenia. Znudziły go w końcu studya zawodowe, „obmierzła cała teologia i cały katolicyzm“. [3]) Dnia 2. lutego 1788. umknął potajemnie ze Lwowa. Po licznych dalszych awanturach zakończył życie jako generalny superintendent gmin luterskich w Rosyi.

Słusznie przypuszczać należy, że nie bardzo odbiegli od sposobu myślenia ekskapucyna ci z profesorów, których tenże darzył swoją szczególną przyjaźnią.

W pierwszym rzędzie był takim prorektor uniwersytetu lwowskiego i dziekan wydziału teologicznego X. Finsiger, mąż, który „zupełnie dorósł do swego zadania“, jedyny z kolegów, do którego Fessler nabrał zaufania, a potem także miłości [4]). Zasady teologiczne, jakie ten bojownik w walce z przesądami i mnichami głosił alumnom, poznaliśmy już z jego encyklopedyi. Stosownie do tych zasad i sam postępował. Spłaszczony aż do upokorzenia przed władzą świecką [5]), zuchwale podnosił się przeciw właściwej swej władzy t. j. duchownej, nie uznając wcale powagi arcybiskupa Kickiego. [6])

„Szczerymi przyjaciółmi“ Fesslera, z którymi żył „poufale“, których polecał szczególniejszym względom cesarza, byli „wcale nie po mniszemu usposobieni“ XX. Angełłowicz i Skorodyński. [7]) Obaj, jak i Harasiewicz, wycho-

---

[1]) Briefe über den itzigen Zustand von Galizien, Leipzig, 1786, T. I. str. 11

[2]) Dr. Finkel — Dr. Starzyński, Historya uniwersytetu lwowskiego, Lwów, 1894 str 78. n.

[3]) Fessler's Rückblicke auf seine siebzigjährige Pilgerschaft, str. 118.

[4]) Tamże str. 115.

[5]) „Już przedtem — pisze w swych pamiętnikach — nie ufając niezawodności opieki józefińskiej, wstrzymywałem się od nauczania z mojej katedry czegokolwiek, coby się nie zgadzało z prawdziwym katolicyzmem; czyniłem to jeszcze staranniej, kiedy... polecono mi, oprócz mego właściwego przedmiotu... wykłady dogmatyki i polemiki“. Te ostatnie, ponieważ były głoszone bez przekonania, były „płytkie i suche“. Tamże, str. 137. n

[1]) O sufraganie o. ł. Kajetanie Kickim, bratanku arcybiskupa Ferdynanda, wyraża się Fessler bardzo pochlebnie, mniej o samym arcybiskupie. „Unter dem hohen Klerus — pisze w Rückblicke — der liberal gesinnte Erzbischof (biskup) Biliński (Bielański) des griechischen, und der eben so liebenswürdige als kenntnisreiche Weihbischof Kitki — Kicki, des lateinischen Ritus haben sich mir jederzeit günstig bezeigt: nicht so des letzteren Oheim, der lateinische Erzbischof Kitki, der Exjesuiten, meiner Feinde, warmer Freund“. Tamże, str. 118. Pochwała z takiego źródła nie przyczynia chyba blasku sufraganowi.

[2]) Tamże, str. 137.

[3]) Tamże, str. 139. [4]) Str. 117. [5]) Zob. (Kratter), Briefe, str. 13. n. [6]) Finkel — Starzyński, l. c. str. 79. [7]) Rückblicke, str. 117, 119.

wankowie wiedeńskiego Barbareum, mieli sposobność w samym centrum józefinizmu nasiąknąć nowym duchem. Miał też w nich cesarz aż nadto wiernych poddanych.

Nie budował też zbytnio alumnów „swobodny, pełen miłości własnej, wiele wymagający a za to mało dający, Abbé, wielki wielbiciel kobiet" [1]) X. Rotter, któremu wytoczono proces o szerzenie „zgubnych nauk" [2]).

I reszta profesorów musiała hołdować nowemu kierunkowi, gdyż inaczej nie byłby im powierzył wykładów wszechwładny dziekan X. Finsiger, od którego obsadzenie katedr teologicznych prawie wyłącznie zależało [3]).

Wpływ profesorów na alumnów był tem gorszy, że z wyjątkiem zakonników, którzy mieli swe klasztory we Lwowie, mieszkali w seminaryach generalnych, więc o każdej porze mogli się z nimi stykać [4]).

Warto bodaj pokrótce zastanowić się na tem miejscu, jaki był stosunek ordynaryatu lwowskiego do tych studyów teologicznych i grona profesorów.

Najpierw należy zauważyć, że kancelarya arcybiskupa Kickiego była jakby ekspozyturą gubernialną, przez którą przechodziły wszystkie zarządzenia cesarskie i gubernialne do wiadomości kleru. Arcybiskup zaś „dokładał wszelkich starań, aby dla należnej wierności i posłuszeństwa względem Najwznioślejszego Majestatu, wszystkie i poszczególne Najwyższe Rozporządzenia, tak jak do jego wiadomości były podane, nie tylko zachowały swoją siłę i tenor do ostatniej litery, ale także były z jak największą troskliwością i dokładnością wypełniane przez wszystkich jego pieczy pasterskiej poddanych" [5]). Ta wierność i posłuszeństwo wobec majestatu posuwały się nawet do tego stopnia, że kiedy dekret cesarski z 26. maja 1787. nakazał wykreślić z katechizmów naukę o odpustach, a kanonik X. Andrzej Filipecki, któremu oddano tę sprawę do referatu, w pięknem i odważnem sprawozdaniu potępił zakusy cesarskie i wręcz oświadczył, iż rozporządzenia tego „nie można przyjąć bez obciążenia sumienia", arcybiskup zadecydował, że „nie potrzeba wcale rekursu do Najwznioślejszego Majestatu", gdyż „dekret najwyższy w niczem nie obraża nauki o odpustach" [6]). Nic dziwnego zatem, że z tą samą wiernopoddańczą uległością przyjmował wszystkie zarządzenia cesarskie, dotyczące studyów teologicznych, że nie zdobył się na protest przeciw wprowadzaniu niekatolickich podręczników do nauki teologicznej. Zresztą protest taki nie na wiele byłby się przydał.

Pod pozorem wolności nauki, z początku odjęto zupełnie biskupom prawo czuwania nad wykładami teologicznymi. Kiedy się jednak poczęły mnożyć skargi ze strony innych ordynaryatów w Austryi na profesorów teologii, dekret dworski z 26. września 1787. pozwolił biskupom lub ich wikaryuszom bywać na wykładach, aby się mogli przekonać o postępach alumnów, profesorom zaś przypomniał, że tak w czasie nauki, jak i w prywatnem obcowaniu ze słuchaczami mają zachować umiarkowanie, skromność i roztropność [1]).

Bezradny był również ordynaryat lwowski wobec profesorów teologii: w r. 1788. n. p. kazał Finsiger odpowiedzieć arcybiskupowi na jego pismo w sprawie Komunii wielkoczwartkowej, żeby „na przyszłość nie przysyłał żadnych dekretów uniwersytetowi" [2]). Usuwanie się profesorów z pod władzy arcybiskupiej ustało dopiero w ostatnim roku istnienia seminaryum generalnego, już po śmierci Józefa II. Kiedy w r. 1790. sufragan i wikaryusz generalny lwowski Kajetan Kicki wniósł do tronu skargę, iż niektórzy z profesorów wcale nie odznaczają się pobożnością ani życiem moralnem, akcentują natomiast ustawicznie zupełną zwą niezależność od ordynaryusza, ukazał się 1. lipca 1790. dekret dworski, gdzie powiedziano, iż „Jego Majestat nakazuje, że duchowni nauczyciele fachu teologicznego mają być poddani ordynaryatowi, od którego, jako osoby duchowne, są zawiśli i mają mu, bez sporu, okazywać należną powolność" [3]).

Po ukończeniu uniwersyteckiego kursu teologii — jak już wspomniano — pozostawali alumni przez rok jeszcze w seminaryum, aby ćwiczyć się w praktycznem duszpasterstwie. Stąd kurs ten roczny nazywał się urzędowo „rokiem praktycznym".

W zasadzie ograniczano się przez ten czas do studyum domowego. Ćwiczeniami kierowali przełożeni seminaryum, a profesorowie moralnej i pastoralnej mieli udzielać im swej pomocy. Nauka odbywała się w tych godzinach, w których inni alumni słuchali wykładów uniwersyteckich. W zakres nauki wchodziły następujące przedmioty: *katechetyka teoretyczna i praktyczna, homiletyka praktyczna, metoda szkół normalnych, historya naturalna i gospodarstwo wiejskie i śpiew gregoryański.* Oprócz tego mieli alumni roku praktycznego powtórzyć z teologii moralnej i pastoralnej partye „bardziej praktycznej natury".

C. d. n. *X. M. Tarnawski.*

W sprawie funduszu prasowego.

Coraz częściej na łamach „Gaz. Kość." odzywają się głosy w sprawie stworzenia prasy katolickiej, względnie zebrania odpowiedniego funduszu prasowego. O potrzebie stworzenia takiej prasy dyskutować nie potrzeba (chociaż nie można też twierdzić, jakobyśmy obecnie prasy tej pozbawieni byli zupełnie), dyskusyi nie podlega też kwestya, że do stworzenia prasy potrzeba kapitałów i to kapitałów znacznych. W tem tylko cały problem się streszcza, jaką drogą te kapitały zebrać.

Wszyscy, którzy dotąd o tej kwestyi rozprawiali, agitują za zbieraniem funduszów drogą dobrowolnych składek. Mniejsza o to, jaką formę one przybrać mają, czy będą one jednorazowymi darami, czy stałem opodatkowa-

[1]) Tamże, str. 117.

[2]) Finkel — Starzyński, l. c. str. 82.

[3]) Tamże str. 79.

[4]) Za jeden pokój w seminaryum płacił profesor miesięcznie 1 fl. 45 kr.

[5]) Ferdinandus Onuphrius de Kitki Kicki... universo clero... 4/4 1783.

[6]) Arch. kons. lw. o. ł. Normalia 1787.

[1]) Tamże Normalia 1787; pismo gubern. z 11/10 kopie 1787, T. I., str. 31.

[2]) Finkel — Starzyński, l. c. str. 146.

[3]) Zschokke, l. c. str. 303.

niem się, czy legatem pośmiertnym, czy wreszcie zrzeczeniem się renty, jaka komuś się należy tytułem płacenia udziałów do Tow. wzajemnej pomocy kapł. — mniejsza więc o to, zawsze to ma być danina bezzwrotna i bezinteresowna.

Według mego zdania droga ta nie wiedzie do celu. Dziennik, to nie jest żadna filantropia, ale to przedsiębiorstwo, które się opłacać winno i musi, a więc do zakładania jego przystępować należy tak, jak do zakładania jakiejś fabryki, sklepu i t. p. Nikt nie prowadzi takiego interesu pieniądzmi zebranymi w drodze składek, ale albo ma na to własne fundusze, albo zawiera z innymi spółkę, albo organizuje towarzystwo akcyjne. Tak samo sprawa winna się mieć i z dziennikiem. Nie znajdując poszczególnych jednostek na tyle zamożnych i przedsiębiorczych, by podjęły się stworzenia dziennika, zorganizujmy towarzystwo akcyjne. Wypuściwszy odpowiednią ilość akcyi nie wysokich (n. p. po sto koron), znajdziemy z pewnością chętnych nabywców, łatwiej bowiem kupić akcyę, za którą kiedyś nie tylko należytość odebrać mogę, ale która mi ewentualnie i odpowiednie zyski zapewni, która mi wreszcie daje prawo do kontroli, na co i jak moje pieniądze będą zużytkowane, aniżeli złożyć ofiarę bezzwrotną, bez dalszego wpływu na to, co się z moim pieniądzem stanie.

Przekonany jestem, że jeżeli tak się sprawę postawi, to kwestya finansów okaże się jako jedna z najłatwiejszych do rozwiązania, a pod dyskusyę powinny przyjść sprawy bardziej zasadnicze: jakich pism nam przedewszystkiem potrzeba, czy są ludzie, którzyby zadaniu podołali, w jakim duchu i w jakiej formie dane pisma mają być prowadzone i która chwila najlepiej by się nadawała do wszczęcia akcyi. *X. Franciszek Błotnicki.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Wywiezienie administratora dyec. wileńskiej X. Michalkiewicza wywołało nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie katolickim wrażenie wstrząsające. Nie chcieliśmy zrazu dać wiary tej wiadomości, bo chociaż wiedzieliśmy, że X. administrator musiał od samego początku bardzo dużo wycierpieć od teraźniejszych władców Litwy, to przecież nie spodziewaliśmy się, że posuną się aż do takiego gwałtu. Rząd niemiecki nie ogłosił dotąd motywów, które go skłoniły do wywiezienia Dostojnika Kościoła, więc na razie możemy tylko powtórzyć to, co o tych motywach powiedział w Sejmie Rzeszy poseł Korfanty:

„Co zawinił — pytał p. Korfanty — wysoki ten Dostojnik Kościoła? Ukarał dyscyplinarnie czterech księży litewskich za to, że w podaniu, w 1917 roku wysłanem do kanclerza Rzeszy niemieckiej, w najjaskrawszy sposób wykroczyli przeciwko karności i porządkowi Kościoła. W podaniu swem księża ci oplwali nasamprzód pamięć wszystkich dotychczasowych biskupów wileńskich w sposób niegodny księdza katolickiego, tych biskupów, którzy w ostatnich półtora stulecia wszyscy nieomal byli męczennikami sprawy katolickiej i nieomal wszyscy umarli na wygnaniu, albo w więzieniach rosyjskich, albo też w lodowatych stepach Sybiru. Czterej ci księża litewscy w swem podaniu dopuścili się świadomego oszczerstwa i fałszywego oskarżenia duchowieństwa dyecezyi wileńskiej, zarzucając mu nadużywanie kapłaństwa do celów narodowo-politycznych, a więc popełnili ciężki występek przeciwko przepisom papieży, szczególnie też Piusa X. i Benedykta XV.

Aresztowano X. administratora dyecezyi wileńskiej za ukaranie dyscyplinarne tych księży litwomanów, którzy wobec władz niemieckich oskarżyli swego najwyższego przełożonego o sfałszowanie statystyki narodowościowej, chociaż statystyka ta jest dziełem niemieckich władz okupacyjnych, powstałem bez najmniejszego udziału władz kościelnych. Czterej ci księża odwieczne tradycye Kościoła katolickiego w Polsce zohydzili i najwyższego swego przełożonego zelżyli w najcięższy sposób, przyrównując go do czynownika carskiego. Znamiennem dla metod rządów na Litwie jest między innymi fakt, że niemieccy żandarmi polowi jednego z tych ukaranych księży litewskich X. Bakszysza obdarzają opieką bagnetów podczas jego wędrówki od wsi do wsi, gdy wymusza od księży podpisy pod petycye, oskarżające wileńską władzę kościelną u rządu i Papieża o zdradę stanu i nadużywanie urzędu! Mimowoli nasuwa mi się uwaga, że postępowanie niemieckich władz wojskowych z tym wysokim Dostojnikiem kościelnym, z X. administratorem dyecezyi wileńskiej, niestety zbyt żywo przypomina postępowanie siepaczy carskich z poprzednikami X. prałata Michalkiewicza na tronie biskupim wileńskim. Poprzedników X. prałata Michalkiewicza siepacze carscy w ten sam sposób uprowadzili z Wilna, jak to uczynili teraz z nim wojskowi niemieccy. Za wiele nie powiem, twierdząc, że nasi rodacy przekonali się, że władze wojskowe na wschodzie lekceważą sobie wszystkie prawa człowieka i że sposób, w jaki się traktuje ludność krajów okupowanych, jest jaskrawym występkiem przeciwko moralności, przeciwko wszelkim pojęciom ludzkości i przeciwko prawu narodów. Czyż wobec tego wszystkiego można się spodziewać, aby niemieckie władze wojskowe uszanowały prawa Kościoła“?

Z Poznania. *O moralność w sztuce.* Nadzwyczajnie rozbudził się u nas w czasie wojny ruch kulturalny, zaznaczając swą żywotność nie tylko w dziedzinie naukowej ale i artystycznej. Wymownie świadczą o tym objawie w pierwszym rzędzie wystawy obrazów. Pomijając wystawy przygodne, niekiedy wspaniałe, jak ostatnia w Muzeum Mielżyńskich, urządzona głównie staraniem X. dra Dettloffa (— ale czy niektóre rzeźby Flauma nie były podejrzane pod względem moralnym? —) mamy w grodzie Przemysława stale dwa salony sztuki, a mianowicie Stowarzyszenia Artystów i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, zasilane w wielkiej części przez malarzy zakordonowych i najwybitniejszych.

Otóż właśnie salon Tow. Przyj. Sztuk Pięknych stał się na wiosnę widownią znamiennych sporów i walk. Nowo utworzone stowarzyszenie artystyczne, noszące szumne miano „Buntu“, jako że rozsrożone w buntowniczej postawie staje wobec społeczeństwa i dotychczasowych jego pojęć o sztuce, urządziło swą wystawę — nawiasem mówiąc, niewielką — w jednej z sal Tow. Przyj. Sztuk Pięknych. Kiedy w przededniu otwarcia wystawy gospodarz, sam rzeźbiarz-artysta, Marcinkowski przyjrzał się badawczo dziełom „Buntu“, oświadczył stanowczo, że jedynie pod tym warunkiem dozwolić może na wystawę, jeśli młodzi artyści usuną kilka rzeźb i obrazów, urągających moralności. Więc pozwalał i godził się na wystawę kierunku ekspresyonistycznego, a tylko w imię etyki sprzeciw podnosił przeciwko jego nadużyciom. Młodzi „buntownicy“, kąpiący się w szumiących potokach „Zdroju“ — znane to u nas i w niektórych kołach osławione czasopismo — dali butną odpowiedź przedstawicielowi starszego kierunku w sztuce, wołając niejako: „Sint, ut sunt, aut non sint“ — to znaczy, nie zrzekając się całokształtu wystawy, otworzyli sobie nowy salon, do którego — niestety, — wielu, bardzo wielu napływało widzów rozmaitej płci i rozmaitego wieku. Tłumaczono czasem, że niektóre akty,

o jakich wspominać wzdryga się pióro moje, ujęte w tajemne, zagadkowe linje ekspresyonizmu, nie przedstawiały się tak niebezpiecznie, ale sam fakt, że malowano takie akty i świadectwo posiwiałego rzeźbiarza, protestującego przeciwko niemoralnej wystawie, chyba wystarczają. Najsmutniejszem jednak to brak samoobrony i głośnego sprzeciwu ze strony społeczeństwa, co się chlubi swym katolicyzmem i ukochaniem etycznych jego zasad. Nie staraliśmy się dostatecznie o czasopismo artystyczne, oparte o podłoże katolickie, za mało popieraliśmy zdrowe prądy w sztuce, oto mamy teraz straszliwe zjawisko, że w katolickiem społeczeństwie prądy niebezpieczne dla katolicyzmu rej wodzą, a przynajmniej na czoło się wybijają w dziedzinie sztuki, a więcej jeszcze literatury pięknej.

Jeden z ostatnich numerów „Zdroju" donosił, że „Bunt" otworzył swą wystawę i w Berlinie i że „Aktion" pismo „Zdrojowi" pokrewne kierunkiem artystycznym, poświęca mu wybitną uwagę. *St. Orliński.*

Uszkodzenie dwu cennych zabytków budownictwa kościelnego. Najwięcej szkód doznał w czasie wojny kościół i klasztor OO. Dominikanów w Podkamieniu. Od pocisków artyleryi spłonęły dachy kościoła i klasztoru, pożar zniszczył bardzo cenną i bogatą bibliotekę, archiwum i szereg portretów królów i fundatorów oraz obrazów religijnych. Od pioruna straciła wieża kościelna swój piękny hełm, miedzią kryty i zdobny w wielkie figury świętych, wykonane z blachy miedzianej. Ucierpiały także stare mury obronne i baszty, okalające kościół i klasztor i składające się wraz z nimi na interesującą i malowniczą całość. Ocalało szczęściem wnętrze kościoła, lecz kłęby dymu, wdzierające się w czasie pożaru sczerniły część cennych malowideł sklepiennych, pendzla wybitnego artysty dekoratora z XVIII wieku, Stroińskiego.

Uszkodzeń doznał również kościół OO. Dominikanów w Tarnopolu, wyjątkowo cenne dzieło architektury XVIII wieku. Pociski nadwerężyły głównie charakterystyczne hełmy wież i podziurawiły dachy.

Z Lublany. Stolica ziem słowieńskich Lublana zamianowała biskupa Jeglica w uznaniu jego wysokich zasług narodowych honorowym swym obywatelem. To samo zrobiło już przeszło 70 miast i gmin słowieńskich. Ma to być odpowiedzią na niedawne ataki madziarskie na biskupa. (Edinost).

Zgon katolickiego organizatora Słowieńców. W Gorycyi umarł zasłużony organizator ruchu katolickiego wśród Słowieńców, dr. Pawletic, pierwszy redaktor katolickiej „Zory" i założyciel towarzystwa katolickich studentów „Danica". *Zel.*

Z Rzymu. Św. p. kardynał Sebastyan Martinelli. Dnia 4. b. m. zmarł w 70. r. życia długoletni prefekt Kongregacyi Obrzędów, kard. Martinelli z zak. Eremitów św. Augustyna, ur. 20 sierpnia 1848 w S. Anna (archidyec. Lucca). Wyświęcony w r. 1871, pracował w swoim zakonie jako profesor teologii i przeor generalny. Od r. 1896 pełnił obowiązki Delegata ap. w Ameryce północnej i pozyskał sobie tam wielkie poważanie. W r. 1901 otrzymał godność kardynalską. Św. Kolegium traci w nim siłę bardzo wybitną. — Następcą jego jako prefekta Kongreg. Obrz. został już mianowany kard. Antonio Vico.

Śp. arcybiskup Baltazar Kaltner. Po krótkich, bo tylko 4 letnich rządach opuścił dyec. solnogrodzką prymas Niemiec, „legatus natus" Stolicy ap., hrabia rzymski, książę arcybiskup dr. Kaltner, zmarły 6. b. m. w 75. r. życia. Ur. 12 kwietnia 1844 w Goldegg, jako syn zamożnego włościanina, wyświęcony r. 1868, pracował najpierw jako wikaryusz, a od r. 1875 jako katecheta wyższej szkoły realnej w Solnogrodzie, gdzie też uzyskał stopień dra teologii w r. 1877. Od r. 1886—1891 był prof. historyi na tamtejszym wydziale teologicznym. Pracował także na polu literackiem, a mianowicie napisał „Lehrbuch der Kirchengeschichte" (4. wydanie wyszło r. 1911), monografię „Konrad von Marburg" i zasilał artykułami swoimi czasopisma naukowe. W r. 1891 został kanonikiem, r. 1901 biskupem tytularnym, r. 1910 księciem biskupem w Gurk, a w r. 1914 księciem biskupem w Solnogrodzie, jako następca kardynała Katschthalera. Śmierć jego okryła żałobą całą dyecezyę, bo był powszechnie czczony i kochany z powodu wielkich swoich cnót i zasług. *R. i. p.*

Bibliografia.

„Zasady kulturalnych form towarzyskich" napisał dla polskiej młodzieży ks. Mieczysław Kuznowicz T. I. Kraków 1918 Stron 143 Gebethner i Sp.

Zasłużony prezes związków polskiej młodzieży podjął się nowej pracy pożytecznej, zestawiając te „zasady form towarzyskich". Poucza on najpierw czytelnika w sposób jasny a zwięzły o istocie prawdziwej kultury, poczem mówi o ideałach, o grzeczności, schludności, o zachowaniu się w towarzystwie różnych osób i w różnych miejscach i t. d. Każde zdanie książeczki świadczy o starannem i sumiennem obmyśleniu jej treści. Strona moralna przepisów towarzyskich jest należycie podkreślona, ale niema tu długich morałów, które mogłyby wielu odstraszyć od czytania; — tylko rozdział o tańcach (str. 74 nn.) wymagałby n. zd. pewnego pouczenia o niebezpieczeństwach, z tą rozrywką połączonych. *P.*

Petite bibliothèque française. I. Voltaire, Histoire de Charles XII. Par. Antoine Ryniewicz. Lwów, 1918 Książnica polska Tow. naucz. szk. wyższych. Stron. 127. Cena 3 kor.

Już w nrze 15. G. k. z r. b. (str. 177) wyraziliśmy przykre zdziwienie swoje z powodu, że Książnica polska wydała dla młodzieży dzieło Voltaire'a. Nie należy ono wprawdzie do zakazanych, ponieważ nie zawiera i nie broni herezyi, ale może zachęcić młodzież do zapoznania się z innemi także pismami tego autora. A przecież literatura francuska ma dosyć dzieł cennych, które nadają się lepiej jeszcze niż to do czytania dla uczniów. Sąd ujemny (całkiem zgodny z prawdą) o charakterze autora, wypowiedziany przez wydawcę w przedmowie, nie zrównoważy z pewnością pochwał przesadnych, któremi go obsypuje jako pisarza. *X. A. P.*

Wyznania prawosławnej zakonnicy.

(Dokończenie).

Tak mnie zaciekawiło to, com widziała i słyszała, że postanowiłam nauczyć się po polsku. Jawnie tego zrobić nie mogłam, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzenia i wydalenia z klasztoru, czegom się strasznie bała. Jeszcze bardziej zapragnęłam umieć po polsku, kiedy zdarzyło mi się w maju być na wieczornem nabożeństwie, a ja nic nie rozumiałam. Zaczęłam przemyśliwać, jakim sposobem możnaby pomówić z księdzem?... W kościele go zaczepić bałam się, aby mnie nie zauważono, a pytać się innych jeszcze więcej się lękałam. Nie wiedziałam, czy można pójść do jego domu, czy to wszystko w ogóle możliwe, a w końcu przyszłam do wniosku, że najbezpieczniej będzie napisać.

Przed trzema laty nie byłabym się nigdy na nic podobnego odważyła, nawet byłabym to sobie uważała za grzech, chociaż nam wolno było z ciekawości wstępować do kościoła i popatrzeć; ale to, co teraz przyszło mi do głowy, to musiałabym wówczas poczytać za istne waryactwo. Bóg jednak czuwał nademną i obrócił to wszystko na moje zbawienie. Postarałam się więc o nazwisko księdza i napisałam do niego list, w którym powiedziałam, że mam wielką chęć nauczyć się choć trochę po polsku, abym mogła rozumieć nabożeństwo w kościele, prosiłam więc, aby mi dał polskie abecadło i pod każdą literą podpisał literę rosyjską. Nie pamiętam

zresztą dokładnie, com napisała, ale zmieniłam swoje imię i nazwisko i zataiłam swój stan, a to dlatego, że gdyby listu nie przyjęto, albo gdyby nie doszedł, iżby nikt nie mógł się domyślić, kto go pisał, a jabym w takim razie dała wszystkiemu pokój. Podałam jednak dzień i godzinę, kiedy będę oczekiwała na odpowiedź w kościele.

9. Zapoznanie się z księdzem i uznanie prawdy katolickiej.

W niedzielę, którą podałam, posłano mię według zwyczaju do miasta. Wstąpiłam do kościoła. Dużą czarną chustkę schowałam do zawiniątka, by mnie nie poznano, ze jestem z klasztoru, pod chustką zaś miałam ubranie jasne. Stanęłam w kącie kościoła i czekałam. Gdy prawie wszyscy już wyszli, serce poczęło mi bić silniej.. W końcu widzę — podchodzi do mnie jakaś pani, którą i przedtem widywałam w kościele. gorliwie się modlącą i pyta się: „Czy to pani pisała do księdza?“ „Tak“ odpowiadam. „To proszę do księdza.“ Poszłam za nią. Gdyśmy przechodziły koło wielkiego ołtarza, pani przyklękła i ja zrobiłam to samo, ale z pewnym strachem. Gdy weszłam do zakrystyi, stanęłam przed księdzem, jak przed sędzią — drżałam ze wzruszenia.. Powtórzyłam swoje życzenie. Ksiądz zadał mi kilka pytań: czy nie życzę sobie przyjąć katolickiej wiary? Odpowiedziałam, że jawnie tego zrobić nie mogę. „Można będzie wyjechać stąd“ powiedział. Na to nic nie odpowiedziałam, ale w duszy śmiałam się, gdyż nie miałam bowiem zamiaru zostać katoliczką. Byłam w owym czasie najzupełniej utwierdzoną w swojej prawosławnej wierze.

Ksiądz dał mi elementarz i kilka broszurek i powiedział, bym po paru dniach zgłosiła się znowu do niego. W tych broszurkach była mowa o prawdziwości katolickiej wiary i o św. Piotrze. Wydawało mi się to śmiesznem, że chcą mię zrobić katoliczką. Ja nie jedno już czytałam o katolikach i nic zachęcającego ani dobrego w nich nie widziałam. Ale w broszurkach owych było zupełnie inaczej. Dlaczego to św. Piotra prawosławni nie czczą tak jak katolicy? To mnie bardzo zastanowiło. Cerkiew prawosławna także czci papieży rzymskich, np. Leona, Sylwestra i innych. Wszystko to tłoczyło się w mej głowie, ale wytłumaczyć sobie tego nie mogłam. Zaczęłam się uczyć polskiego abecadła, ale z wielkim trudem zaledwie zrozumiałam niektóre słowa polskie.

Gdym drugi raz poszła do księdza, otrzymałam katolicki katechizm po rosyjsku i czytałam go z wielkiem zaciekawieniem, chcąc się jak najwięcej dowiedzieć o wierze katolickiej. Potem jeszcze kilka razy chodziłam do niego. Pytałam się też, co to znaczy, że wszyscy mają paciorki? Ksiądz mi to wytłumaczył, dał książeczkę i różaniec. Odmawiałam go często, ale najpobożniej w dnio, kiedy pożar wybuchł obok klasztoru i wszyscyśmy byli w wielkim strachu.

Po przeczytaniu katechizmu i innych książek, które dostawałam od księdza, bez mała już byłam przekonana o prawdziwości rzymsko-katolickiego Kościoła. Wówczas przyznałam się księdzu, żem zataiła swoje nazwisko i przeprosiłam go za to, Ksiądz radził mi znowu wyjechać i chciał nawet wszystkie koszta podróży przyjąć na siebie; ale od tego się wymówiłam, mając trochę swoich pieniędzy. Co do klasztoru, żal mi było porzucić to ciche życie, ale ksiądz uspokoił moje obawy, obiecując, że klasztor się znajdzie, jak zostanę katoliczką. Obiecał w tej sprawie napisać do Wilna, dodając, że po otrzymaniu odpowiedzi będę mogła tam wyjechać.

Podług zwyczaju klasztornego wyjeżdżałam prawie co dwa lata do rodziny i teraz zbliżał się ten czas, w którym miałam wyjechać mniejwięcej na miesiąc, tak, żeby we wrześniu wrócić, posyłali zaś mię do domu i dlatego jeszcze, żem przywoziła z powrotem trochę wiktuałów. Powiedziałam więc księdzu, że nim nadejdzie odpowiedź z Wilna, muszę wyjechać do swoich. Prosił mię tylko o adres i obiecał listownie zawiadomić o treści odpowiedzi z Wilna.

10. Pożegnanie rodziny. Podróż do Wilna. W katolickim zakonie.

Ogromna radość była w domu, gdym przyjechała, bo nad spodziewanie przyjechał i brat mój, który miał posadę w pewnym składzie towarów. I tak cała nasza niewielka rodzina zebrała się jakby umyślnie na moje pożegnanie. Po dwu tygodniach otrzymuję list polecony z Woroneża. Rodzina niczego nie podejrzewała; ale dla zupełnego jej uspokojenia powiedziałam mamie, że przechodzę do innego klasztoru i odjeżdżam do Wilna. Z początku matka zasmuciła się, że to tak daleko, ale uspokoiłam ją, pokazując rosyjską pieczęć parafialną. Matka nie zauważyła, że to pieczęć parafii rzym. katolickiej, a opowiadałam dalej, że pewien świaszczennik mnie tam poleca i że tam mi będzie bez porównania lepiej niż w Woroneżu.

W liście była wypisana cała droga do Wilna i adres proboszcza parafii św. Piotra i Pawła, do którego miałam się zwrócić.

Paszport miałam w porządku, ale trzeba było jeszcze postarać się o metrykę, co nie było trudno, ponieważ jej w każdym klasztorze żądają. Ale gdybym była oddała metrykę przełożonej w Woroneżu przy uroczystych obłóczynach, to trudno już byłoby ją odebrać i kto wie, czy wówczas pojechałabym była do Wilna. I tu widzę zrządzenie Opatrzności, że nie dano mi wówczas tego upragnionego kornetu z welonem. Proboszcz naszej wsi, znający mię od dziecka, sam mi metrykę przyniósł. Wszystko było gotowe i wziąwszy niewiele rzeczy, pożegnałam się z rodziną.

Jak dziś widzę ojca z matką, jak stoją na ganku i żegnają mnie; a brat miał mię odprowadzić dalej... Dokąd jadę? Co mnie tam czeka?... Nie wiem! Cudzy kraj! Ale teraz jakaś wyższa siła działała we mnie i kierowała mną, jakoby przeciw mej woli. Musiałam jechać!.. W jakimś półśnie odbywałam tę podróż, nie zdawałam sobie sprawy, co się ze mną dzieje. Jakaś wielka radość, ale zarazem i strach panował w mem sercu! Myślałam sobie: Wszak w Woroneżu mię oczekują i nic nie wiedzą o mych planach, więc mogłabym spokojnie wrócić na dawne miejsce, do dawnego klasztornego życia...

Z początku ciężko mi było przywyknąć w obcym kraju, ale łaska Boża i pociechy duchowne, których miałam podostatkiem, robiły swoje i można było w tych warunkach zapomnieć o wszystkiem, co ziemskie. Obecnie nie odczuwam tych pociech tyle, ile ich było w początkach i lękam się bardzo tego chłodu, opuszczenia i smutku.

Rodzina moja dotychczas nie wie, że jestem katoliczką i jest przekonana, że przebywam w klasztorze prawosławnym. Przyjechać do mnie nie mogą, bo i daleko i zdrowie matce nie dopisuje. Proszą mnie, bym przyjechała do nich. Matka pisze, że bardzo pragnie mnie widzieć i dodaje: „Czyż my już za życia mamy być pogrzebani i nigdy nie zobaczymy się tu z sobą?“ Ale jakże ja mogę pojechać do nich? W zwykłem świeckiem ubraniu pokazać się nie mogę, a gdybym odkryła prawdę, — matka wpadłaby w rozpacz! Listownie trudno nawracać, ale jeżeli kiedy przyjedzie do mnie, to powiem prawdę. I myślę, jeśliby zobaczyła dobrych katolików, kościoły i te nabożeństwa prawdziwie chrześcijańskie, — to musiałaby się uspokoić. Nie mam żadnej nadziei, by ktokolwiek z mojej rodziny został kiedy katolikiem. Najbliższy dla nich kościółek katolicki to ten, do którego ja chodziłam, kiedym była w klasztorze w Woroneżu, odległym od naszej wsi 200 wiorst. Mnie tylko samej dana była ta łaska, żem została katoliczką. Ale gdyby kto inny otrzymał tyle darów od Boga, jakżeby umiał Mu dziękować i Jego wychwalać! A ja niegodna?!...

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Mianowani: **Dziekanem** dekanatu lwowskiego dla miasta X. Władysław Librewski, kanonik kapituły metropol. — **Wicedziekanem** dekanatu lwowskiego dla miasta X. Piotr Weredyński, prob. kościoła św. Antoniego; — dekanatu kołomyjskiego X. Antoni Czwaczka, prob. w Mariahilf.

Odznaczeni rok. i mant. XX.: Józef Baraniecki, proboszcz w Czernelicy, Kazimierz Głowiński, prob. w Chorostkowie, Stefan Dziurzyński, dziekan i prob. w Krzywczu, Stanisław Adamczyk, prob. w Tłustem, Wacław Zakrzewski, prob. w Tokach, Ludwik Weiss, dziekan i prob. w Mikulińcach, dr. Ignacy Grabowski, docent uniwersytetu i prefekt Semin. kleryków.

Odznaczeni exp. can. XX.: Władysław Bożyński, administrator w Łoszniowie, Kajetan Gruszecki, prob. w Olejowie, Andrzej Iwańczyszak, prob. w Hałuszczyńcach, Bernard Klein, eksp. w Turylczu, Ludwik Martynowicz, prob. w Budzanowie, Leopold Mikrut, eksp. w Dolhej wojniłowskiej. Jan Miedzielski, admin. w Jazłowcu, Edward Pasieczny, prob. w Toustem, Stanisław Piechna, prob. w Ostapiu, Adolf Prorok, prob. w Ostrowie, Adam Pyrek, prob. w Strusowie, Stanisław Teterowicz, eksp. w Kołodziejówce, Piotr Trznadel, eksp. w Kobyłowłokach, Józef Harra, prob. w Chomiakówce.

Instytucyę kanoniczną otrzymali XX.: Ludwik Martynowicz, prob. w Łoszniowie, na prob. w Budzanowie; Karol Machecki, administrator w Jakobenach, na prob. tamże.

Administratorami parafii mianowani: w Wiśniowczyku X. Józef Rysz, eksp. w Białokiernicy; — w Łoszniowie X. Władysław Bożyński, eksp. w Podwołoczyskach.

Przeniesieni: X. Bronisław Mroziuk z Wiśniowczyka do Bobuliniec. X. Franciszek Bałut z Połupanówki do Podwołoczysk.

Święcenia kapłańskie otrzymali dnia lipca 1918 dyakoni: Józef Adamczyk, Piotr Chomiak, Ludwik Droździowski, Piotr Głaz, Leon Janczewski, Alojzy Ju[illegible]ski, Emil Kobierzycki, Tomasz Marszałek, Ludwik Peciak, Paweł Penar, Józef Polaczek, Karol Rydzik, Józef Sobolewski, Edward Stankiewicz, Władysław Szetela, Bronisław Szwed.

Dyecezya krakowska.

Konsystorz książęco-biskupi przedstawił jako kandydata na archipresbitera kościoła NP. Maryi w Krakowie X. prałata i kanonika dra Czesława Wądolnego.

Doktorat teologii uzyskał na Uniw. Jagiel. X. Bolesław Wilamowski, prefekt gimn. w Gostyninie (Król. Polskie).

Zmarł X. Andrzej Jarosz, katecheta szkół im. ces. Elżbiety i Piramowicza w Krakowie, w 54 r. życia, a 25 r. kapł. — *R. i. p.*

Na fundusz prasowy Tow. wz. pom. Kapł. złożyli: X. Mieczysław Pizar (ze Lwowa) sto K. — X. Stanisław Zaleśny (z Zadwórza) 20 K. — M. Boredowska, zarobnica w Łomnej, 40 K z dopiskiem: „ze swoich zasiłków na założenie dziennika katolickiego".

Korespondencya redakcyi.

X. W. S. w M. Na uwagę W. X. Proboszcza odpowiadamy na razie tylko tyle, że Gaz. Kość. jest na równi z innemi pismami skrępowana przez cenzurę, która jej nie pozwala pisać otwarcie o pewnych sprawach politycznych.

XX. P. M. Dr. J. S. w Kr. Dziękujemy! Zamieścimy w najbliższym czasie.

G. w T. „Mies. Kat. i Wych." za maj i czerwiec będzie dopiero w tych dniach rozesłany.

Sprostowanie.

W n-rze 29 G. K. z r. b. str. 327, kol. II. w. 33 od góry zam. Pietruszawicz, czyt. Pietruszewicz; w. 7 z dołu zam. Surdalu, czyt. Suzdalu. Str. 328 w. 6 od góry zam. Frediakowski, czyt. Trediakowski. W. 24 od góry zam. z Niepołomic, czyt. Nagłowic.

Podziękowanie.

Podpisany proboszcz w Stryszowie (dyec. krak.) składa serdeczne podziękowanie *Szan. Wydziałowi Tow. Kapł.*, że raczył uchwalić bezzwrotną zapomogę 500 K w d. 3/7 b. r. podpisanemu na pokrycie części kosztów połączonych z operacyą. Oby to było zachętą dla młodych kapłanów, aby się zapisywali na członków Towarzystwa Kapłanów we Lwowie.

Z głębokiem poważaniem
X. Jan Figwer.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.
Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.